

Góry faktycznie piękne, sama część kanadyjska Gór Skalistych jest chyba z 50 razy większa od Tatr, turystów (chodzących w góry) i wspinaczy mało, szkoda tylko, że Kanada nie leży trochę bliżej Polski!

Krystyna Palmowska

Polscy turyści i alpinści bywali w Górach Skalistych dużo wcześniej. Amerykańska część odwiedziła w lipcu 1921 r. Helena Dluska, a była to ostatnia wycieczka górską w jej niedługim życiu. Do miłośników Canadian Rockies należał zmarły w marcu 1989 r. Zbigniew Kubiński. Wdowa po nim, Japonka Yoko, rozsyłała jego prochy w Rocky Mountains i w Tatrach. (Red.)

NIUSY OD RUDAWA

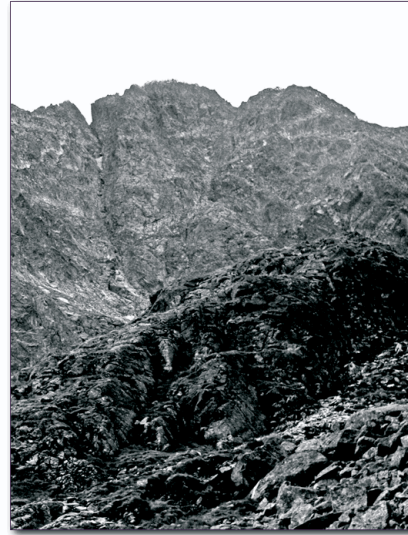
- 24–25 sierpnia 2016 Marcin Tomaszewski i Tom Ballard poprowadzili nową drogę na pn.-zach. ścianie Civetty (3220 m, VII, 1000 m). Droga wiedzie systemem logicznych formacji w głównym spiętrzeniu urwisk i – zdaniem Marcina – z uwagi na brak znaczących trudności mogłaby być równie dobrze drogą zdobywców ściany. Wcześniej (27 lipca) ten sam zespół zrobił nową drogę na Montello (Off the Beaten Track, V+ 250 m).
- 27 sierpnia br. Małgorzata Grabska i Karolina Ośka pokonały jako pierwsze kobiety klasycznie Filar Długosza na Kazalnicy Miękuszwieckiej (2159 m). Zespół zmieniał się w prowadzeniu. Kluczowy wyciąg w okapie (IX+) poprowadziła Karolina. Jak dotąd Filar miał zaledwie kilka klasycznych przejść męskich.
- W początku września oboje z Anią Beutler wspinaliśmy się w Mammoth Lakes. Jak pamiętamy, to właśnie tam mieszkał John Bachar i tam zginął w okolicznych skalach, co odnotowaliśmy w GS 7/2009. Wyczytałem ostatnio, że sprawa jego śmierci nie była jasna. Otóż sekcja zwłok wykazała wylew krwi do mózgu, przy tym zaś stosunkowo niewielkie obrażenia spowodowane upadkiem: połamane pięty, mały uraz głowy. Być może maszynowy wylew (por. GS 8/2016 s. 4) spowodował zgon, lub stał się przyczyną śmiertelnego lotu.
- 19 września 2016 w banalnym wypadku samochodowym zginął w wieku 70 lat Kim Schmitz. Urodzony 26 czerwca 1946, miał w dorobku takie wyczyny, jak I wejście na Great Trango Tower (1977) czy I wejście na Uli Biaho Tower, drogą ocenioną na VII, 5.8, A4 (1979). Duży rozgłos przyniosła mu jego „Karakoram High Route” – 43-dniowy przemarsz narciarski 300 mil długości. Kim był laureatem prestiżowych nagród wysokogórskich.

Rudaw Janowicz

W PARU SŁOWACH

● Do naszych tradycji hindukuskich wróciła mała wyprawa w składzie Aleksandra Dzik, Arkadiusz Baranowski, Robert Róg i alpinista rosyjski Oleg Obrizan. Celem była „polska góra”, graniczny Kohe Tez (6995 m). Po założeniu 2 obozów, 9 sierpnia na szczycie stanął cały zespół. Kohe Tez jako pierwsi zobyli 28 sierpnia 1962 r. Polacy, oni też nadali mu nazwę. Uczestnicy wyprawy chwalią wysoką użyteczność map Jurka Wali. ● Hiszpański portal „Desnivel” odnotowuje 30. rocznicę ańo historico na K2. Lato to jest pamiętne – czytamy – gdyż Polacy otworzyli dwie wielkie drogi, a aż 13 alpinistów postradało życie, pięcioro w zalamaniu pogody między 6 a 10 sierpnia. ● 9 sierpnia dobiegający do siedemdziesiątki (69) Marek Pronobis przeszedł na pn.-wsch. ścianie Ostrej nową drogę, sklasyfikowaną IV A2, 9 godzin – samotnie! Nazwał ją „Ostra 69”. ● „Pod ciężarem wolności” to film, który zdobył Grand Prix na XII Spotkaniach z Filmem Górskim w Zakopanem. Jego twórcą jest Słowak Pavol Barabaš. Do konkursu zakwalifikowano 22 filmy z 15 krajów. (Apoloniusz Rajwa) ● 13 sierpnia w Spiskiej Nowej Wsi gościł z prelekcją Wojtek Kurtyka. Spotkanie było bardzo ludne i udane, a słuchacze „oczarowani osobowością prelegenta”. Jak podaje „Horolezec”, na podstawie książki „Chiński maharadża” spektakl sceniczny wyreżyserowała Klaudyna Rozhin. Sztuka ta w wykonaniu divadla Kontra znalazła się w programie niedawnych festiwalu w Zakopanem i w Łądku Zdroju. ● W internetowym *Salonie24* natknąłem się na duże 3-odcinkowe wspomnienie o Zbyszku Skoczylasie. Anonimowy autor ciepło wspomina wspinanie, obozowiska („tabor”) i życie w górach około roku 1980 – wszystko pod ojcowskim okiem Zbyszka. Tekst warto by wydrukować. (Witold Stańczyk) ● Znani Szwajcarzy Claude i Yves Remy zostali odznaczeni Złotymi Medalami im. Króla Alberta I, przyznawanymi co 2 lata od r. 1993. Bracia należą do rekordzistów liczby poprowadzonych dróg – szacują je w sumie na 15 000 wyciągów. Medale otrzymali też Nives Meroi i Roman Benet. ● Polscy wspinacze coraz śmielej poczynają sobie w Kaukazie. W dniach 24–27 lipca Paweł Kaczmarczyk, Maciej Bedrejczuk i Piotr Sulowski z KWW przeszli jako pierwsi klasycznie drogę Myszlajewa na pn. ścianie Czatyń-tau (4412 m). Trudności 1150-metrowej drogi wycenili zgodnie z zastanymi warunkami na M6+, 6c, 70°. (Portal PZA) ● Oficyna „Annapurna” wydała wznowienie biografii Andrzeja Zawady pióra Ewy Matuszewskiej pt. „Lider”. Książka została gruntownie odświeżona, 20–30% to teksty nowe, rozbudowana została szata ilustracyjna. Równolegle „Annapurna” przygotowała polską edycję bogatej w wątki polskie książki Johna Portera „One Day as a Tiger”, w przekładzie Romana Gołędowskiego. We wrześniu Porter był gościem festiwalu zakopiańskiego.

Redakcja i teksty (z wyjątkiem osobno sygnowanych): Józef Nyka, ul. Klaudyny 12 m 79; 01-684 Warszawa. Tel. [48] 22-833-07-75; e-mail <jozef.nyka@home.pl>. P.T. Seniorzy proszeni są o współpracę. Pisemko rozprawdane jest bezpłatnie, numer bieżący można dostać do druku z adresu internetowego <www.nyka.home.pl/glos_sen/pdf/gs201609.pdf>; ostatnie roczniki są dostępne w internecie na stronie: <www.nyka.home.pl>.



GŁOS SENIORA

Mały Kozi Wierch widziany od północy. Z lewej szczybera Zmarzłej Przełęczki Wyżniej. Fot. Józef Nyka

PIERWSI NA MAŁYM KOZIM

Szczyt bez nazwy jest jak człowiek bez imienia i nazwiska. Nie osobowość to górską, lecz kawał skały. Mały Kozi Wierch w XIX w. trwałej nazwy nie miał, choć kawałkiem skały był całkiem okazałym. Nazywano go różnie: Zawratową Turnią Wschodnią, Granatem, Czarnymi Ścianami, Zamarłą Turnią, najczęściej przyimkowo Ponad Zawrat. W r. 1886 Eljasz próbował mu nadać imię Chałubińskiego. O historii jego nazwy pisaliśmy szerzej w GS 6/1999. Szczyt prawie anonimowy mógł nie nęcić turystów, ten miał jednak pewien niezaprzeczalny walor: stanowiąc obramienie ruchliwej przełęczy, był w zasięgu ręki i kuśił szerszym niż z Zawratu widokiem, a teren wręcz zapraszał do wejścia. Kiedy zaczęto ustalać i notować skalne premiery – kto pierwszy, kto drugi, kto trzeci – pierwszym zdobywcą Małego Koziego okazał się być Janusz Chmielowski. Wizytę złożył wierzchołkowi 10 lipca 1892 r., jako zaledwie 14-latek, a towarzyszył mu Kuba Gąsienica Szustek z Kotelnicy. Informacja o wejściu znalazła się w przewodniku WHP (t. II 1951 s. 11) i dziś jest za nim powtarzana w artykułach i książkach, a także encyklopediach – z najnowszymi włącznie (WET 1995, s. 144 i 584, WEGA VI 147). Przypisanie przez Chmielowskiego pierwszego wejścia sobie, budzi niemałe zdziwienie, szczyt jest przecież z Zawratu dostępny w 12 minut, i to bez trudności, a jako punkt panoramyczny musiał być bardzo obiecujący.

W moich „Tatrach Polskich” w haselku „Mały Kozi Wierch” od pierwszego wydania (1969) podaje, że „wejścia miały miejsce już ok. 1875 r.”, znane mi były bowiem zapisy wcześniejsze od Chmielowskiego. I tak już na nieopublikowanej mapie Tatr Polskich z r. 1861 szczyt ma podaną wysokość 1142 sążni. Jej dokładność świadczy o pobycie na czubku geodetów, którzy wtedy pracowali często z pomocą barometru. Szczyt nie otrzymał koty na mapach Wojskowego Instytutu Geograficznego w Wiedniu – ani na popularnej „specjalce” 1:75 000 (1881), ani na Detail-Karte 1:25 000 z r. 1898, choć – jak wynika z oryginałów zdjęć (1876) – dla „specjalki” jego wysokość została wymierzona (2226 m). Nie oznaczono go też ani kotą, ani nazwą, na wydanej w r. 1903 polskiej wersji Detail-Karte. Na mapie turystycznej 1:40 000 z r. 1881 nie ma co prawda wysokości, ale ma za to – za Lorenzem – nazwę „Ponadzawrat”.

Niepokaźny od strony przełęczy skalny czubek był dla turystów celem tak dalece „przydrożnym”, że wejść na niego nikt sobie osobno nie zapisywał. W latach 1872–1878 musiał na nim bawić Viktor Lorenz, poszukując dogodnych przepraw przez grzbiety. W roczniku Węgierskiego Tow. Karpackiego 1879 (s. 340) pisał: „Zdecydowanie wątpliwe w możliwość przejścia [w poprzek granii] pomiędzy szczytami Kozy Wierch i Ponadzawrat. Z tego drugiego widzimy, jak do naszych stóp podbiega grań łącząca oba te szczyty – stromo spadająca na obie strony i do tego sama pozbębiona.” – „Z tego drugiego”, czyli z dzisiejszego Małego Koziego Wierchu. Lorenz nie mógł

nie stanąć na nim, skoro mówi „widzimy” i potrafi opisać dalszy ciąg grani, z Zawratu przecież niewidocznej. W tym samym czasie – od pierwszego wydania poczynając (1876) – wypad z Zawratu na wierzchołek Małego Koziego Wierchu polecał Karl Kolbenheyer w swoim przewodniku „Die Hohe Tatra”, dziesięć razy wznawianym i używanym też przez turystów polskich. Na s. 89 czytamy: „Kto zresztą nie boi się trudu wspinaczki, a nie był na Świnicy, temu należy poradzić, aby zamiast [z Zawratu] natychmiast spuścić się do Pięciu Stawów, wspiął się granią wybiegającą w lewo w kierunku Kozy wierch – aż do następnej przełęczki, bezpośrednio pod tym szczytem [t.j. Zmarzłej Przełęczki Wyżniej]. Ma się stamtąd przed sobą widok obejmujący całe Tatry od Murania i Hawrania aż po Tatry Zachodnie, a jednocześnie po stronie północnej wgląd w położony pod obrywającymi się pionowo skałami Zmarzły Staw i przed nim Czarny Staw (...). Ten wypad zajmuje zresztą całą godzinę, jednak nikt nie będzie żałował poświęconego mu trudu.” W dalszych wydaniach autor dodaje, że szczyt nosi nazwę „Ponad Zawratem”. Nawet gdyby nikt nie korzystał z zachęt ponawianych w wydaniach popularnego „Kolbenheyera”, to sam autor i tak musiał stanąć na tym szczytce, i to przed rokiem 1876 – być może 24 sierpnia 1875. Zresztą z Hali Gąsienicowej były czynione osobne wycieczki na Mały Kozi. Ks. Walenty Gadowski wspomina w „Przeglądzie Zakopiańskim” z 7 marca 1903 r. (s. 74), że przewodnicy zakopiańscy wodzą na ten szczyt gości jako na namiastkę honorowego Koziego Wierchu – przy czym „chwalą się, że od Zawratu wyprowadzają wprost na (mały) Kozi Wierch”. Trasując Orlą Perc, 20 czerwca 1904 r., ks. Gadowski z Klimkiem Bachledą pierwszy przetraversował masyw Małego Koziego (od 1903 tak już nazwany) od Przełęczki Zmarzłej aż po Zawrat.

W „Taterniku” można przeczytać, że Chmielowski jako autor nie znał wielu źródeł, co brzmi mało wiarygodnie. Był czytany w pismach niemieckich i węgierskich, powoływał się na artykuły Lorenza, nie mógł nie znać przewodnika Kolbenheyera. Zauważmy też, że w swoim „Przewodniku po Tatrach” (t.II 1908 s. 41) własnego pierwszeństwa nie odnotowuje, choć jest w tym względzie nader skrupulatny. Tak więc to nie Chmielowski był pierwszym zdobywcą Małego Koziego. Imię faktycznego pioniera tonie w tzw. pomroce dziejów, chociaż przynajmniej dwa nazwiska – Kolbenheyera i Lorenza – trzeba uznać za pewne. Szczyt należy do drugo- czy nawet trzeciorzędnych, więc ta nasza luka pamięciowa wielką stratą dla historii taternictwa nie będzie.

Józef Nyka

MOJE SKALNE LATO 2016

Bawiąc w Polsce tego lata miałem okazję wspiąć się w kilku dawno nie odwiedzanych rejonach. Sokole Góry odebrałem bardzo pozytywnie (może z wyjątkiem niektórych dróg z nadmiarem stałej asekuracji). Duży ruch nie mała tam nawet w ciągu tygodnia. Większość to wspinaczkowy narybek. Podobało mi się również w Hejszowinie, gdzie z kolei frekwencja pozostaje na stałym niskim poziomie. Z kolei Saska Szwajcaria wydała mi się opuszczona. Skały nie tylko niemilosiernie pozarastały drzewami (słysząc narzekania na park narodowy, że nic z tym nie robi), ale świecą raczej pustkami. Z dużą przesadą mówi się, że w Saskiej Szwajcarii „nikt się nie wspina” (obecnie roczny bilans nowości zamyka się liczbami poniżej 100). Ludzie woła jeździć do pobliskiego „Labaku” (Labské údolí), z uwagi na złagodzone przed laty reguły, w tym powszechnie używanie magnesji. Ale na drogach w Labaku asekuracja jest również rzadka (jak na skałkowe standardy). Pomimo to, co mnie trochę zdziwiło, nie zauważyłem tam nikogo wspinającego się w kasku! W Saksonii miałem okazję wspiąć się z Horstem Diewockiem, powszechnie znanym z Hejszowiny. Z kolei urok niespodzianki miało nieplanowane spotkanie w Schmilce z Helmutem Paulem, z którym w latach 80. Sudecki KW współpracował i dzięki któremu mieliśmy możliwość poznawania Saksonii. Helmut stale jest aktywny (choć mniej się już wspina), a od upadku NRD wiele jeździł po świecie, m.in. w greckich Meteorach zrobił ok. 30 pierwszych przejść (z Manfredem Voglem, innym znajomym z Hejszowiny). Zaraz po powrocie do domu w USA pojechałem w skałki do West Virginii, gdzie wspólnie z Krzysztofem Pondelem (Nowy Jork) zrobiliśmy kilka fajnych nowości. Między innymi w Meadow River Gorge dodaliśmy „Titę” (5.10c) na Third Buttress, „Zośkę” (5.10c) w Summersville Lake i „Trabajo no, samba si” (5.7) w rejonie Carnifex Ferry. Kolejne projekty czekają na realizację, a sezon letni dopiero w połowie, więc jeszcze dużo przed nami.

Rudaw Janowicz

ZAPROSZENIE W GÓRY ARADAN

Między 23 lipca a 6 sierpnia 2016 roku 9-osobowa grupa turystów prowadzona przez Siergieja Szyszkińskiego, nauczyciela z Jermakowskiego (Krasnojarski Kraj, Rosja): Lera Korostielowa, Ira Szyszkin, Marina Szumkowa, Szasza Gogoriew, Misza Wołkow (byli uczniowie szkoły w Jermakowskim), Sławomir Dworski (Tczew), Dominik Księski (Żnin) i Henryk Mizak (Rumia) przeszła – dolinami i przełęczkami – szlak przez góry Aradan od Wielkiej Bakłanichy do Nistaforowki.

Dojazd w to dzikie pasmo Sajanu Zachodniego (patrz WEGA s. 43, mapa s. 634) jest prosty: od lotniska w Abakanie (loty z Moskwy) trzeba przejechać autobusem lub wynajętym bussem 200 km na południe dobrze utrzymanym asfaltem drogi M-54. Marsz po górach już prosty nie jest. Pasterstwo w ten rejon nie dotarło i nawet w dolinach nie ma tam dróg. Idzie się przez szczyt las, pełen głębokich mchów i wykrotów, trawersuje się zarośnięte krzakami stoki, chodzi po wielkich kiwających się głazach, tworzących gołoborza, po żywych piargach, przez sięgające kolan jagodziska.

Licząca około 100 km trasa prowadziła (z wyjątkiem dwóch pierwszych i dwóch ostatnich dni) bez ścieżki, przez doliny i przełęczki gór – reliefem, wysokością, rozległością i urodą do złudzenia przypominających Tatry. Biwakować wolno tu w każdym miejscu (Park zabrania oczywiście zostawiania śmieci), turystów jest niewiele – rocznie przejścia przez cały masyw dokonuje kilka grup. „Na miejscu biwakowym nad Jeziorem Cedrowym drewno przygotowane na ognisko leżało tak, jak ekipa Siergieja zostawiła je 5 lat temu” – mówi Henryk Mizak. Apropozycję na dwa tygodnie trzeba zabrać ze sobą. Przyda się lina, wykorzystywana jako poręczówka.

Wspinacze tam nie zaglądają, a wierzchołków godnych turystycznych wejść jest wiele, choć drogi w skalnym terenie trzeba szukać samemu. Większość szczytów nie ma nazw, a odwiedzane są one znacznie rzadziej, niż przełęczki. Przed wymarszem należy zająć do dyrekcji Parku Narodowego Jergaki, gdzie każda grupa winna się ze względów bezpieczeństwa zarejestrować. Mapa dobra jest – i papierowa, i do odbiornika GPS, drukowanego przewodnika brak. Góry mogą stanowić atrakcyjny cel małej wyprawy o nastawieniu eksploracyjnym, a jeśli ktoś woli mniej dziki teren, to po wschodniej stronie szosy M-54 leżą Jergaki, gdzie trasy są mniej uciążliwe, a skały porzeźbione bardziej efektywnie. Adres strony Siergieja: www.shandl.ru.

Nasz koszt wyjazdu w Aradan wyniósł na osobę 5170 zł (samolot 2725 zł, dojazdy 587 zł, wizy itp. 433 zł, ubezpieczenie 240 zł, wyżywienie 785 zł, telefon satelitarny 380 zł, inne 20 zł). Ew. szczegółowszych informacji może udzielić autor tej notatki: dominik@paluki.tygodnik.pl

Dominik Księski

ROCKY MOUNTAINS

Do Calgary poleciałam w lipcu na zaproszenie Eli Lipowskiej, która skusiła mnie opowieściami o pięknych i dzikich Canadian Rockies. W trakcie mojego pobytu dotarła do nas Anka Okopińska – po zakończeniu konferencji naukowej w Vancouver. Ela, rezydentka Kanady od stanu wojennego (przedtem mieszkanka Zakopanego, KW Kraków), gościła nas serdecznie, karmiła i woziła w góry; bez samochodu w Calgary nie ma życia, a dystanse po 100 – 300 km dziennie to chleb powszedni. Pogoda niestety nas nie rozpieszczała – przez 2 tygodnie lało rzęsiście, więc zawzięcie mokliśmy wędrując po Kananaskies, jednak przez to wszystko nie zobaczyliśmy słynnych Bugaboos. Rozpogodziło się dopiero pod koniec pobytu Anki, tak że zdążyliśmy razem wejść na Mount Fairview (2744 m), skąd faktycznie cieszyliśmy się wspaniałymi widokami.

Ostatni tydzień (już we dwie) był pracowity: udało się wejść m.in. na Cascade Mountain (2998 m) i na Eiffel Peak (3084 m). Ten ostatni to była nagroda pocieszenia za Mount Temple (3544 m), który się nam nie poddał – byliśmy za późno, zgbiliśmy drogę, na koniec zaś postraszło nas deszczem, a nawet gradem. Drogi klasy scrambling (jedynkowe).

Naszym głównym rejonem działania był Banff National Park. Na dole było tłoczno – nawet Ela czuła się zaskoczona niezwykle wysoką jak na Kanadę frekwencją. Większość gości zadowala się obejrzeniem panoramy Lake Louise i Moraine Lake – jezior w bajecznych odcieniach turkusku. Jednak im wyżej, tym ludzi było mniej. Do tego stopnia, że zaczynałyśmy tęsknić za czyjąś obecnością – tym bardziej, że oznakowanie tras jest gorzej niż mizerne (kopczyki, które czasem wyprowadzają w pole), nie mówiąc o niedźwiedziach, które są swoistą lokalną „atrakcją” – chodzi się tam ze sprayem, który ma odstraszyć ewentualnego agresora, co bardziej zapobiegliwi obwieszczają swoją obecność z pomocą dzwoneczków, przytroczonych do plecaka.